

polskie sumienie

KINO 6/1990

Rozmowa z KRYSZYNA JANDA

VINCENT RÉMY: - *Mimo że od „Człowieka z marmuru” minęło 14 lat, pani nazwisko i twarz we Francji nadal są związane z Agnieszką. Czy to pani nie przeszkadza?*

KRYSZYNA JANDA: - Absolutnie nie, to przecież normalne! Nie potrafi pan sobie nawet wyobrazić, jakim szokiem była postać bohaterki „Człowieka z marmuru” w Polsce. (...) Nigdy przedtem nie widziano kobiety tak samowolnej, agresywnej, napompowanej taką energią, a przy tym nawet przez minuty nie zajmującej się sobą. Geniusz Wajdy polegał na wyczuciu, że oto nadchodzi nowe pokolenie, gotowe wyważać zamknięte drzwi, żądające odpowiedzi na wszystkie pytania. Ten film wyprzedził narodziny Solidarności. Wyprzedził historie.

- *Okres realizacji musiał być wspaniały...*

K.J. - Ale nie w tym sensie, jak pan sądzi. Ekipa filmu nie znosiła mnie. Wszyscy niepokolli się, uważali, że Wajda oszalał. Co też mu przyszło do głowy, żeby zaangażować tę dziewczynę? Ale on stał za mną i mówił: nie słuchaj nikogo, robisz coś zupełnie innego i nikt tego nie rozumie. Zaciśnij zęby i do przodu!

- *A czy pani rozumiała cały sens tej roli?*

- Oczywiście, nie. Podobnie jak Agnieszka nie znałam zupełnie historii lat 50-tych. W szkole mnie tego nie uczono. Chodziłam zresztą do Liceum Sztuk Plastycznych, szkoły bardzo liberalnej, jedynej tego rodzaju w Polsce. Ta szkoła nie miała nic wspólnego z komunizmem. Pamiętam, kiedyś powiedziałyśmy mojemu profesorowi, że musimy koniecznie pójść na „Szalonego Piotrusia”, grano go właśnie w Warszawie. Zwolnił mnie z zajęć.

- *A pani rodzina?*

- Moja rodzina nic nie ucierpiała na skutek stalinizmu. A tak w ogóle, oprócz tych, których dotknęły bezpośrednio represje, moi rówieśnicy też o niczym nie wiedzieli. Oczywiście, wiedziałam o Katyniu. Pałac Kultury w Warszawie uważałam za koszmarnie brzydactwo. Miałam pomysł, żeby owinać go watą i zasłaniać rzeźbuche. Dopiero Agnieszka nauczyła mnie wszystkiego...

- *Nie obawiała się pani, że ta pierwsza rola zacytowała w sposób decydujący na całej pani karierze?*

- Nie, ponieważ grałam już wtedy na scenie, w adaptacji „Portretu Doriana Graya” Oscara Wilde’a, i to ja byłam Dorianem! Zaczęłam śpiewać i zdobyłam nagrodę na festiwalu piosenki. Miałam wiele twarzy. Ale to, że odkryto mnie dzięki „Człowiekowi z marmuru”, stanowiło dla mnie pewien problem. I kiedy cztery lata później Wajda zapropono-

wał mi „Człowieka z żelaza”, trzeba było zastanowić się, kim mogła stać się Agnieszka. To jasne, że nie było dla niej miejsca w stoczni. Postanowiono więc, że będę matką-Polką, strażniczką Rewolucji.

- *A może pani sama stała się taką kobietą? Nigdy nie kusiła pani działalność polityczna?*

- Niedawno Wajda przysłał mi swoją wizytówkę: „Andrzej Wajda, senator”. Wykreśliłam senatora i wpisałam na to miejsce słowo „reżyser”, ponieważ uważam, że można tysiąc razy więcej zdziałać jako reżyser, niż jako senator. Ja zaś jestem aktorką. Myślę, że znam swój zawód. I zrobię wszystko, co mogę poprzez aktorstwo. Moja szansa polegała na tym, że wybitni polscy reżyserzy chcieli, aby to moja twarz, moje usta były nośnikami ich idei.

- *Pani zaangażowanie polegałoby więc na wyborze ról?*

- Mogłabym prywatnie, jako Krystyna Janda, wygłosić każde zdanie, które wypowiedziałyby grane przeze mnie bohaterki filmów tzw. „kina moralnego niepokoju”. Nie lubię tej etykiety, używanej w sensie pejoratywnym przez krytyków o przeciwstawnych orientacjach. Tyle tylko, że ta etykieta wprowadza pewną przejrzystość, ponieważ wiadomo, że chodzi o filmy z lat 1976-1980.

- *Właśnie w roku 1981, w przeddzień wprowadzenia stanu wojennego, zagrała pani w „Przesłuchaniu” Ryszarda Bugajskiego. Ten film trzymany przez cenzurę przez osiem lat, w maju będzie wyświetlany w Cannes.*

- Po raz pierwszy pojadę do Cannes z radością. To moja ulubiona rola, jedyna, z której jestem rzeczywiście zadowolona. Nie znoszę siebie w „Człowieku z marmuru”. Ale „Przesłuchanie” zwolniono zbyt późno. Za często oglądałam ten film! Wszyscy Polacy widzieli go na kasetach wideo. W czasie stanu wojennego urządziłam projekcje u siebie w domu, także z francuskim tłumaczeniem i wyjaśniałam cudzoziemcom polskie problemy. Aż do ubiegłego roku nigdy nie widziałam „Przesłuchania” na ekranie kinowym i byłam zaskoczona, kiedy obejrzałam barwną kopię, bo kaseeta była czarno-biała i na dodatek w straszonym stanie. U mnie w domu ludzie płakali, chociaż naprawdę niewiele było widać.

- *Ten film-legenda nie przysporzył pani kłopotów?*

- Trzy czy cztery razy wzywano mnie na policję. Wygłupiałam się: czy jeżeli pana uderze, to zachowa się pan tak, jak ci z filmu? Gratulowano mi, że tak dobrze zagrałam.

- *I nigdy nie było poważniejszych kłopotów?*



- Policjanci sądzą, że aktorzy są głupi, że grają tylko to, co im mówi reżyser. Ja sobie z nich kpiłam. Powiedziałam, że nie zdawałam sobie sprawy, że należało grać źle; że nikt mnie nie uprzedził, że scenariusz nie jest po linii... Nie puszczano w telewizji moich programów piosenkarskich. Dyrektorzy polskiej telewizji podjęli decyzję: nie możemy narodowi pokazywać twarzy, przypominającej tylko zle sprawy. Po stanie wojennym zagrałam w teatrze dwie role głupiotkich i miłych dziewczyn w komediach, które miały 800 przedstawień. I zawsze były komplety.

- *Czy zależało pani na utrzymaniu określonego wizerunku moralnego?*

- Przez cztery lata nie czyniłam niczego, aby zbrukać mój wizerunek, jako osoby nie-nagannej pod względem moralnym. Ale w roku 1985 zagrałam w „Kochankach mojej mamy” rolę skandalizującą. Był to film, który wtedy zyskał największą frekwencję. Wajda stwierdził, że popełniłam błąd przyjmując tę rolę, że było za wcześnie na to, abym mogła sobie pozwolić na zniszczenie mojego „image”, że „nasza publiczność” nie oddziela ekrana

nowych postaci od mojej prywatnej osoby. Uważałam, że przesadza...

- A więc osoba bez zarzutu?

- W każdym razie ja nigdy o nic nie prosłam komunistów! Ani o samochód, ani dom, ani żadne awantaże, które oni przydzielali. Wszystko, co dzisiaj mam, zarobiłam na Zachodzie. Wszystkie filmy, w których grałam, powstały na skutek pewnej gry politycznej. Zawsze we władzach był ktoś taki, komu zależało, aby takie filmy zrobiono...

- Wewnętrzne sprzeczności komunizmu...

- Za każdym razem znajdowało się kogoś w Ministerstwie Kultury, kto dawał przyzwolenie na realizację filmu. Oczywiście, bez żadnych gwarancji. Filmowcami trudno było manipulować, oni znali układy i wzajemne powiązania. To paradoks, ale zawsze oddychaliśmy swobodniej, kiedy mieliśmy do czynienia z prawdziwymi biurokratami.

- Właśnie wtedy, a nawet nieco wcześniej, bo zaraz po „Człowieku z marmuru”, miała pani szansę zrobić wielką, międzynarodową karierę, być może i w Ameryce.

- Ale ja nie znam angielskiego! Pakula proponował mi rolę w „Wyborze Zofii”, ale wtedy byłam we Francji i władze polskie powiadomiły mnie, że pozbawią mnie prawa powrotu do kraju, jeżeli przyjmę tę propozycję. Ale i tak nigdy nie pauzowałam. Zawsze byłam tak zajęta. Naprawdę, sądzi pan, że mogę zrobić międzynarodową karierę?

- Zagrała pani jednak w dwunastu filmach poza Polską.

- Tak, i za każdym razem zadawałam sobie pytanie: właściwie dlaczego oni mnie angażują? W kinie francuskim należy być młodą, piękną, głupią. Tam po ekranie snują się kobiety-kwiaty.

- Francuski rodzaj wrażliwości nie jest pani bliski?

- Nie, to nie tak. To Francja mnie nie chce. Jestem zbyt radykalna, zbyt wyrazista. I zawsze, kiedy byłam z siebie zadowolona, reżyser mówił: szarżujesz, zbyt głośno krzyczysz, masz w oczach zbyt dużo prawdziwych łez. Miałam dobre recenzje, ale zawsze wyczuwałam, że kryją się za tym jakieś niedomówienia, zastrzeżenia w stosunku do mojej gry a la Stanisławski. Nieustannie odnosiłam wrażenie, że Francuzi woliliby, żebym była, jak to wy mówicie? „Agréable”? Właśnie, przyjemna, miła.

- Krytycznie ocenia pani swoje francuskie doświadczenia.

- Bo wy, we Francji macie ambicje komercyjne. Zachowałam jednak dobre wspomnienia z realizacji filmu Yves Boisseta „Espionnisme-levé-toi”. Dobra, profesjonalna robota. A poza tym ci partnerzy: Ventura i Piccoli. Uwielbiałam grać z Sami Freyem, ale to było w filmie „Laputa” reżyserowanym przez Helme Sanders-Brahms. Sami zawsze nazywał mnie „potworem”.

- Pani niemiecka kariera układała się lepiej.

- Tak, ale tylko na Zachodzie. Pewien NRD-owski reżyser najpierw zapraszał mnie a potem się rozmyślił. Powiedział: „Nie, ona jest za brzydka”. Tak się skończyła moja kariera w NRD. W Niemczech Zachodnich jest inaczej. Wiem, że dwa pokolenia Polaków nie mogą nawet słuchać języka niemieckiego, ale ja tam dobrze się czuję i niczego się nie obawiam. Niemcy mają nieczyste sumienie! Kiedy dowiadują się, że jestem Polką, są zakłopotani, przepraszają, chcą mi dodać otuchy.

- W 1988 zagrała pani u Kieślowskiego.

- „Dekalog”, to było wydarzenie! W Polsce nikt nie przypuszczał, że te filmy odniosą taki sukces na Zachodzie. Wiadomo dokładnie, dlaczego Kieślowski zrobił ten serial. Po stanie wojennym chciał przypomnieć ludziom, że dekalog został naruszony. Ale te filmy nie mają nic wspólnego z Kościołem, z religią. Są to filmy metafizyczne. Kieślowski chce wierzyć. I wie, że tego mu właśnie brak.

- Ale wleży w kino!

- Wie dokładnie, czego chce. Jak to jest możliwe, żeby zrobić 10 filmów z różnymi znanymi aktorami, z różnymi operatorami i osiągać ten sam rezultat? W tym jest jego styl, styl wyjątkowy! Ale mojej gospośi nie spodobała się postać, którą zagrałam, bo gospośia jest bardzo wierząca.

- A pani?

- Dziesięć lat temu nie znośiłam chodzić do kościoła, nie mogłam wręcz słuchać tego, co tam mówiono. Teraz to się zmieniło, to jest nasz kościół. Odkryliśmy to w stanie wojennym. (...).

- Pani gospośia może być jednak zadowolona z roli, którą pani zagrała w „Stanie posiadania” Zanussiego, pokazywanym w Strasbourgu. Zdziwiająca rola, zdziwiający film...

Zanussi nigdy przedtem nie proponował mi roli. Przychodził do teatru i gratulował, ale sądziłam, że tak naprawdę nie podoba mu się moje aktorstwo. Kiedy więc zaproponował mi tę rolę, początkowo sądziłam, że chce zniszczyć wszystko, co zrobiłam do tej pory, a w każdym razie zniszczyć mój wizerunek, stworzony przez Wajdę (...)

- A co panią skłoniło do przyjęcia propozycji Zanussiego?

- Zanussi wiele ze mną rozmawiał i wyjaśnił, że cały film oparty będzie na improwizacji, a to mi da możliwość zbudowania postaci. Powiedziałam sobie, że po parudziesięciu filmach, nikt nie jest w stanie wyrzucić mi krzywdy, że panuje nad wszystkim (...).

- Jak przebiegały zdjęcia?

- Wspaniale. Śmiało się jak szaleni. Kreśliśmy dziesięćminutowe, improwizowane sceny, nie wiedząc, co chce osiągnąć Zanussi. Każdy dubel to była inna historia. Sądzę, że z tego materiału dałoby się zmontować trzy czy cztery zupełnie różne filmy (...).

- Czy po tym filmie nie miałyby pani ochooty na komedię?

- Ależ, oczywiście! Myślę, że nadszedł czas, aby pośmiać się ze stanu wojennego i pogodzić ze sobą naród, podzielony na tych, którzy byli zaangażowani i na tych, którzy stali z boku. Piwowarski ma pomysł niezwykły – film o kobiecie, jednej z tych „ciotek rewolucji”, które wszystko poświęciły, nosiły ulotki i parzyły kawę. Teraz ich koleżanki i przyjaciele są ministrami, a one zostały na lodzie.

- Film o śmiechu i zapomnieniu!

- To prawda, że ludzie pragną za wszelką cenę zapomnieć. Ten rodzaj filmu może udać się tylko w Polsce. Obecnie bawimy się we własnym kregu. Naszą siłę stanowiło to, że nie myśleliśmy w kategoriach komercyjnych. Ale polskie filmy muszą stać się filmami europejskimi. I trzeba bać się Amerykanów. Ich historyjki podobają się młodej widowni, są dobrze grane. Oni mają pieniądze, chcą opanować wszystkie nasze rynki, są już w Rosji.

- I schrupią Polskę.

- Nasz kraj będzie miał kłopoty jeszcze przez 10, 15 lat. Wkraczamy w XIX-wieczny kapitalizm. A nie ma pieniędzy. Najlepsi polscy aktorzy grają byle co w jakichś skandynawskich filmach science-fiction, bo dostają 4 miliony złotych za jeden dzień zdjęciowy. W Polsce nie dostają takiej sumy za cały film.

- Niedawno zagrała pani Helenę Modrzejewską, wielką polską aktorkę z ubiegłego stulecia.

- Trochę mnie ta Modrzejewska zmęczyła. Poświęciła wszystko, swoje dzieci, swoich mężów i wiedziała, czym jest niedola i samotność tego zawodu, jeżeli pojmuje się go tak, jak ona go pojmowała.

- Wydaje się, że pani ma inny stosunek do aktorstwa.

- O.K., mam męża, dwoje dzieci, cztery psy. Uwielbiam życie, sadzenie marchewki w ogródku, chodzenie do ZOO. A poza tym zajmuję się jeszcze dziećmi z sierocińców.

- Poważnie?

- Tak! Zmieniłam się. Dawniej niczego takiego bym nie robiła. Ale teraz to są nasze dzieci, a nie państwa. Bo państwo stało się nasze. Moje środowisko ma rozwinięte poczucie odpowiedzialności. Robię, co mogę, co mi jest bliskie.

- Jak do tego doszło?

- Przeczytałam artykuł w „Gazecie Wyborczej” i dowiedziałam się, że na jedno dziecko przypada dziennie 440 złotych. Natychmiast wsiadłam do samochodu, poparłam do telewizji i poprosiłam moje koleżanki-aktorki o pomoc. W Ameryce, gdzie wkrótce zaczynam tournée z moim „one woman show”, już wiedzą o mojej akcji i zbierają pieniądze na rzecz tych dzieci. (...)